

KAPUCYNI i MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej ISSN 1642-8897, rok 2018, nr 1



*Wyślij pączka do Afryki,
podziel się tym, co lubisz!*



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

Serdecznie pozdrawiam Was z Afryki. 16 lutego wyruszyłem w miesięczną podróż do braci misjonarzy pracujących w Republice Środkowoafrykańskiej i Czadzie. Kiedy wylądowałem w Bangui – stolicy RŚA „przywitała mnie ciepło”. O 16.30 termometry wskazywały 37°C w cieniu. Dwa dni spędziłem w stolicy przyglądając się pracy br. Andrzeja Barszcza. Zajmuje się on animacją powołaniową pośród chłopców z liceum, którzy chcą w przyszłości wstąpić do kapucynów. Aspirantura trwa trzy lata. Na cotygodniowe spotkanie w niedzielę przychodzi ok. dwudziestu aspirantów. Ze stolicy udałem się do Bouar, gdzie odbywało się spotkanie kapucynów kustodii RŚA-Czad. Spotkałem tam prawie wszystkich (jedenastu) polskich misjonarzy. Brakowało tylko br. Piotra Michalika, który pozostał w domu z powodu malarii. W Bouar odwiedziłem nowo wyświęconego biskupa Mirosława Gucwę, misjonarza pochodzącego z diecezji tarnowskiej. Po spotkaniu w Bouar bracia rozjechali się do swoich misji. Ja wyruszyłem z br. Robertem Wieczorkiem do Ndim.

Aby tutaj podróżować trzeba mieć końskie zdrowie i szczególnie mocny kręgosłup. W wielu miejscach to „coś” po czym się jedzie nie przypomina zupełnie drogi. Jedzie się najczęściej na drugim, a nawet na pierwszym biegu. Odległość 40-tu km dzielącą Bocaranga od Ndim pokonał w ciągu dwóch godzin.

W Ndim zastałem starych znajomych z czasów mego posługiwania na misjach. Przez ostatnie osiem lat wioska niewiele się zmieniła, te same chałupy i stopy śmieci przy drodze. Nie omieszkalem im o tym powiedzieć podczas niedzielnej Mszy Św. Mówiłem o działalności naszego Sekretariatu Misyjnego i Fundacji, dzięki którym możemy realizować projekty właśnie u nich. Br. Robert Wieczorek, proboszcz parafii Ndim, zawsze coś buduje lub remontuje. W sobotę pojechaliśmy w rejon, który okupują bandyci ugrupowania Seleka. Zatrzymaliśmy się w nowej osadzie o nazwie Jerusaleń, gdzie ludzie piją brudną wodę z bajora. Ma tam powstać nowa studnia głębinowa z pompą ręczną, finansowana przez naszą Fundację. Jadąc dalej zatrzymaliśmy się przy pompie w Kowane ufundowanej przez nas dwa lata temu. Cały czas jest oblegana przez ludzi potrzebujących wody.

W wiosce spotkaliśmy kilku rebeliantów, w których br. Robert rozpoznał bandytów, którzy próbowali go nastrożyć i zmusić by opuścił region przez nich okupowany. W wiosce pokazał mi rozbudowaną kaplicę i przy niej przedłużony budynek szkoły. Ma tam jeszcze powstać jeden budynek z dwoma klasami. Wracając zatrzymaliśmy się w Tululu, gdzie już są fundamenty pod nową, dużą kaplicę. Starą kaplicę br. Robert wyremontował

i wymienił dach. W przyszłości ma służyć jako budynek parafialny na różne spotkania i katechezę. Już dawno rozpoczęłyby się prace przy nowej kaplicy, tylko ciągle bandyci Seleki przeszkadzają swoją obecnością.

W każdej wiosce, którą mijaliśmy słysząc było głośnie pozdrowienia „Pere Roberto” – Ojciec Robert. To świadczy, że jest szanowany i dobrze znany przez wszystkich. Przed wyjazdem z Ndim odwiedziliśmy szkołę, którą przed laty zakładałem z siostrą Agathe. Teraz jest tam świetnie funkcjonujące gimnazjum. Duże wrażenie zrobiły na mnie setki dzieci i młodzieży maszerujących do szkoły drogą o siódmej rano. Dawno nie widziałem takiego obrazu.

Po drodze do Bocaranga zatrzymaliśmy się w szkole w Zole, jednej z wielu szkół objętych projektem naszej Fundacji wsparcia sierot w ich życiu i edukacji. Zobaczyłem jak wygląda dożywianie najbiedniejszych dzieci, jak uczą się na równych prawach z innymi i ile dobrych rzeczy można ofiarować osieroconemu dziecku za jedną naszą złotówkę!



Tych kilka słów, którymi tutaj opisałem mały wycinek afrykańskiej rzeczywistości i działalności naszych misjonarzy, niech Was umocni w przekonaniu, że warto pomagać tutejszej ludności. Przy każdym spotkaniu turyści prosili mnie, abym podziękował wszystkim, którzy śpieszą im z pomocą. Czynię to z wielką przyjemnością i wdzięcznością. Dziękuję bardzo = Singila mingi (jęz. sango). Bóg zapłać

Już wkrótce będziemy radować się świętem Wielkiej Nocy. Życzę Wam aby spotkanie Zmartwychwstałego Pana było doświadczeniem Jego ogromnej miłości. Niech łaska Bożego Miłosierdzia mobilizuje nas Wszystkich do czynienia dobra. Alleluja!

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny

Pączkujące miłosierdzie

Już niedługo – który to raz w życiu? – będziemy przeżywać Święta Zmartwychwstania Pańskiego. Przygotowujemy się do nich przez czterdzieści dni Wielkiego Postu. Kościół katolicki zachęca nas, aby w tym czasie pełnić uczynki miłosierdzia, czyli „dzieła miłości, poprzez które pomagamy bliźnim w potrzebach ciała i duszy”. Katechizm przypomina, że wśród uczynków miłosierdzia co do ciała „jednym z podstawowych świadectw miłości braterskiej” jest jałmużna. I dodaje: „jest ona także praktykowaniem sprawiedliwości, która podoba się Bogu” (zob. Katechizm Kościoła Katolickiego 2447).



Jest wiele sposobów, w jaki można wypełnić to zalecenie. Nasza fundacja także ma swoją propozycję. W lutym tego roku, już po raz szósty, rozpoczęliśmy ogólnopolską akcję **Wyślij pączka do AFRYKI!** Hasło to w tłusty czwartek miało wymiar bardzo praktyczny: zamiast samemu zjadać się pączkami, można było podzielić się nimi z głodnymi dziećmi w Afryce. Wiele osób (ponad 5 tysięcy darczyńców) tak zrobiło. Kwotę, którą zamierzali wydać na pączki, wysłali do Afryki za pośrednictwem Fundacji Kapucyni i Misje. Była też inna możliwość: na blisko 300 kiermaszach organizowanych w parafiach, szkołach i zakładach pracy w całej Polsce można było kupić pączka lub inne ciastko, a dochód z tej sprzedaży trafiał do polskich misjonarzy pracujących w Czadzie i Republice Środkowoafrykańskiej. „Za jednego Twojego pączka – wartego 2 zł – nasz misjonarz kupi posiłki dla dwójki afrykańskich dzieci!” Taka informacja robiła duże wrażenie: często nie uświadamiamy sobie, że nawet niewielka kwota może stanowić realną pomoc dla ludzi w potrzebie.

Organizatorzy kiermaszów prześcigali się w pomysłach. Np. w łomżyńskiej Szkole Podstawowej nr 2 zorganizowano aukcję pączków ofiarowanych przez miejscowe cukiernie. Licytowano je tak, jakby były cennymi dziełami sztuki. Najdroższy pączek został sprzedany za 100 złotych i ponownie trafił na kiermasz!

„Pączkowe” akcje mają pomóc w zebraniu środków na projekty, które prowadzą bracia misjonarze. W pierwszej kolejności – na dożywianie osieroconych dzieci, a dalej – na budowę kaplic, placów zabaw i studni, remont i wyposażenie szkół, pomoc niepełnosprawnym i wiele innych celów. Dzięki ofiarności przyjaciół misji kapucyńskich w Afryce do tej pory udało się nam zebrać 70% potrzebnej w tym roku kwoty. Ruszyła m.in. budowa przedszkola w Bocaranga (RŚA), powstaje ogródek zabaw dla dzieciaków w Bam w Czadzie, projekt dożywiania dzieci w Ndim i Ngaoundaye został już w pełni opłacony. Akcja nadal trwa. Każdy może się do niej przyłączyć, wpłacając jałmużną wielkopostną na dobry, szlachetny cel. Więcej informacji można znaleźć na stronie internetowej: paczek.kapucyni.pl.

O dzieciach, które są głodne, musimy pamiętać zawsze – podczas Wielkiego Postu i radosnych Świąt Zmartwychwstania, w trakcie wakacji i w normalnym czasie pracy. Każdy dzień naszego życia jest okazją do spełniania uczynków miłosierdzia. Jak mówił św. Jan Paweł II: „Człowiek jest wielki nie przez to co posiada, lecz przez to, kim jest; nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się z innymi”.





Trudne drogi

pisze br. Piotr Michalik OFM Cap

Bardzo wiele osób okazywało mi wyrazy współczucia z powodu śmierci mojej Mamy, która narodziła się do lepszego życia. Jestem Wam wszystkim niezmiernie wdzięczny, mimo że nie okazywałem tego, milczałem, nie odpowiadałem na listy. Przepraszam Was za to. Potrzebowałem Waszych słów i dziękuję za nie. Niech Pan towarzyszy Wam w tym nowym roku. Co stare, minęło, teraz jest nadzieja na pełniejsze życie. Szansa jest realna – tylko w wolności Dzieci Bożych otworzą się na Ducha.

Układałem program zajęć na cały 2018 r. Niedługo skończy się pora sucha, czyli najlepszy czas dla prac budowlanych. Planuję też »małe konferencje« w każdej z moich wiosek. Tym razem na przykładzie historii Jakuba i Ezawy będziemy omawiać i pogłębiać problem przebaczenia i pojednania się. Temat jest jak najbardziej na czasie w kontekście wojny i niepokojów, czyli aktualnej sytuacji w Republice Środkowoafrykańskiej.

Z siostrą Gosią, pasterką, jedziemy do Boyangou. Jak zwykle, w Assana zostawiamy samochód i dalej jedziemy na rowerach. Powód tej przesiadki jest prozaiczny – nie ma mostu nad wyschniętą rzeką, samochód nie przejedzie. Mała konferencja przebiegła spokojnie: ja pracowałem z dorosłymi, a siostra Gosia animowała dzieci. Wydaje mi się, że temat poruszył serca uczestników. Widzą konieczność i trudność prawdziwego pojednania. A przecież żyją w regionie, który mógłby służyć za wzór współżycia ludzi różnych wyznań i ras. Mieszka tu wielu Mbororo – zislamizowanych nomadów, pasterzy krów. Mbororo ze strefy przygranicznej z Kamerunem na różne sposoby próbowało się bronić przed masowymi kradzieżami krów dokonywanymi przez anty-balaka (byłych partyzantów, na początku wojny broniących okoliczną ludność przed rebeliantami, a obecnie trudniących się grabieżami). I na pierwszy rzut oka wszystko jest w porządku. Jednak zadry krzywd nie całkiem się jeszcze zabił w sercu. A wzajemne uprzedzenia mają długie życie... Te tereny nadal są okupowane przez ludzi generała Sidiki, których regularnie widzi się przejeżdżających motorami i uzbrojonych po zęby... Tajemniczy generał Sidiki Abass rok temu ogłosił, że zapewni bezpieczeństwa Mbororo i ich krowom. I zajął się tym energicznie, nie przebiegając w środkach. Efekt – kilkadziesiąt ludzi zabitych, dziesiątki wiosek opuszczonych w popłochu, tysiące ludzi stało się uchodźcami. Jak tu się mówi: pożar buszu łatwo wzniecić, ale ugasić go jest o wiele trudniej. W każdym razie od czegoś trzeba zacząć – zgoda jest najważniejsza. Gdyby czekać na

idealne warunki do pojednania, to najprawdopodobniej czekalibyśmy w nieskończoność...

W sobotę bierzemy rowery i jedziemy do Yamba. To już jest inny świat – Kamerun. Granicą jest rzeka Mberre, a przekraczamy ją po moście zbudowanym przez Niemców jeszcze przed I wojną światową (wypisz wymaluj przypomina mosty wybudowane w analogicznym czasie w mojej rodzinnej miejscowości na Śląsku Opolskim). Most przypomina nam, że przez kilkanaście lat ten region był kolonią niemiecką... Yamaba jest sennym miasteczkiem przygranicznym. Raz w tygodniu, w piątek, ożywia się, bo jest wtedy dzień targowy. Setki ludzi z RSA przychodzi tu, by sprzedać produkty rolne i kupić wszystko, co niezbędne do bardzo skromnego życia.



Dzięki naszym katechistom udało się nam skontaktować z jednym z tamtejszych kupców. Dogadujemy się w sprawie kupna materiałów budowlanych. Za kilka dni mają ruszyć budowy. Na szczęście kupiec zgadza się dostarczyć te materiały aż do Boyangou. Kameruńscy boją się zapuszczać w tę strefę RSA, która jest pod kontrolą rebeliantów generała Sidiki. Gdybym miał sam to wszystko wozić, to chyba bym się zapłakał. Długo zastanawiałem się, czy warunki bezpieczeństwa są wystarczające, by rozpocząć budowy. Przecież mam tam przywieźć czterech murarzy z Ngaoundaye, wpuścić ludzi na place budowy. Nie ma wątpliwości – rebelianci będą to wszystko widzieć. Jak zareagują? Rok temu generał Sidiki powiedział, że jeśli to ma służyć rozwojowi regionu, to on jak najbardziej się zgadza. Jednak to było rok temu, strasznie dawno.

Odważyłem się na rozpoczęcie kilku robót jednocześnie. Powód jest prosty: dojazd w ten region mojej parafii jest bardzo trudny, więc lepiej jest za jednym przyjazdem doglądać kilku robót naraz niż do każdego placu budowy dojeżdżać osobno. Poza tym pora sucha trwa ograniczony czas, a tylko wtedy można pracować.

W porze deszczowej drogi są nieprzejezdne, ludzie mają bardzo dużo pracy na polu, rzeki wylewają i praca przy mostach jest niemożliwa. A zaplanowałem zbudowanie trzech przepustów wodnych, po których może przejechać samochód, i naprawę jednego mostu. Chciałbym też naprawić drogę, bo dotychczas jeździły nią tylko jednoślady. A teraz musi nią przejechać ciężarówka, by przywieźć potrzebne materiały budowlane. Kolejne zamierzenie to budowa kaplicy w Bossempé 2. Obecnie modlimy się tu w kapliczce strzechą krytej. Jak będzie przerwa w budowie kaplicy w Bossempé 2, to spróbuję dokończyć budowę kaplicy w Kaïta oraz naprawić dach kaplicy w Boyangou. Takie mam plany na najbliższe dwa miesiące, zobaczymy, co uda mi się zrealizować.

Zapakowałem samochód narzędziami murarskimi, wziąłem łóżko polowe i pojechałem do bruku. Zakryta kaplica w Boyangou stanie się na czas budowy moją bazą mieszkalną. Zabrałem ze sobą czterech murarzy Roberta, Constanta, Julice'a i Jean Baptista. Zamiast jechać najkrótszą drogą (69 km), jedziemy dookoła (157 km). Droga jest w bardzo złym stanie. Pokonanie jej zajęło nam cały dzień. Po drodze zablądziłem, samochód zawiesił się na koleinach, ciągle musiałem wynajdywać przejazdy najmniej złe i balansować samochodem przy przechyłach bocznych na pograniczu wywrócenia się.

W De Gaulle odwiedzamy władcę tradycyjnego tutejszego »szejkanatu« mużmańskiego, który jednocześnie jest starostą powiatu. Jego pałac jest widoczny z daleka: ogrodzony potężnym, choć starym murem. Wchodzimy do środka i prosimy o widzenie. Nie jesteśmy jedynymi, którzy chcą widzieć lamido (tutejsza nazwa szejka). Lamido przychodzi dość szybko. Po tradycyjnych słowach powitania informujemy go o naszych planach budowlanych. Jak można się było spodziewać, nie ma nic przeciwko, wręcz przeciwnie – wina nam inicjatywy. Obiecuje odwiedzić kiedyś plac budowy. Nie wiem, czy ta wizyta była konieczna, jednak wobec niebezpiecznej sytuacji panującej w regionie, myślę, że lepiej było go poinformować i mieć zgodę kogoś, kto coś znaczy na tym terenie. Nie zaszkodzi, a może pomóc. Wychodząc od lamido, podziwiam malutki i ładny meczet – jeden z nielicznych w RSA o ciekawej architekturze, zbudowany z wypalanej cegły.

Po przyjeździe do Boyangou szybko się urządzamy i myślimy tylko o jednym – pójść jak najszybciej spać. Droga wszystkich nas nieźle zmęczyła. A następnego dnia otwieram dwie budowy. Martwię się tylko, czy dostawa cementu i innych materiałów przyjedzie na czas. Kupiec obiecał być z samego rana. Nazajutrz czekamy, czas leci, a ciężarówki nie widać. W końcu dowiadujemy się, że nie dała rady podjechać pod górkę w miejscu, gdzie wyjeżdża się z doliny granicznej rzeki. Podjazd jest zbyt stromy. Musieli rozładować towar, dopiero wtedy pusta ciężarówka mogła wjechać na górę. Tam na nowo załadowali cement i dopiero pojechali dalej. Stąd to opóźnienie. Nie czekam na ciężarówkę. Szkoda czasu. Jedziemy do Bossempé 2, żeby wytyczyć fundamenty pod nową kaplicę.

Jak tylko miałem wolny czas, woziłem piasek na budowę. Dojazd do rzeki nie jest łatwy z powodu bardzo stromego zjazdu; trzeba dobrego samochodu ze sprawnymi hamulcami i napędem na cztery koła, żeby wykonać to zadanie. Samochodu w wiosce nie znajdziesz, więc nie mam wyjścia, muszę sam transportować ten piasek. W wiosce zostawiam dwóch murarzy (Roberta i Constanta) – to będzie ich budowa. Z pozostałymi jadę dalej do miejsca przepustu wodnego przed wioską Wantounou. Szybko orientujemy się w terenie, ustalamy dokładne położenie przyszłego przepustu i pozostali murarze (Julice i Jean Baptiste) też mają swój plac budowy. Bardzo liczę na Julice'a – wcześniej już pracował przy budowie mostów i przepustów, ma doświadczenie, a to jest tutaj ważne. Przecież mnie nie będzie na miejscu cały czas, murarze muszą sami rozwiązywać problemy, które z pewnością będą się pojawiały w miarę postępu prac.



Godne podkreślenia jest to, że na miejscu obu budów czekała na nas spora grupa ludzi. I że byli bardzo chętni do pracy. Tutejsi mieszkańcy wiedzą, że budowy to szansa na rozwój ich społeczności. Będą ciężko pracować jako wolontariusze. A prace będą trwały wiele dni i zamiast uprawiać swoje pola lub odpoczywać, poświęca ten czas dla dobra ogółu. Ponadto muszą zapewnić nocleg i wyżywienie dla murarzy. To wymaga zgrania się ludzi z wioski, a nawet współpracy między wioskami. Tak się złożyło, że większość prac przy naprawie drogi, remoncie mostu i budowie dwóch przepustów znajduje się przy małej wiosce Wantounou. Mieszkańcy sami nie dadzą rady zrobić wszystkiego, zakres prac przerasta ich możliwości. Budowa mostu będzie wymagała naprawdę ścisłej współpracy mieszkańców różnych wiosek. To samo dotyczy naprawy drogi. Podzieliłem ją na odcinki, a za każdy odcinek jest odpowiedzialna inna wioska. Widziałem w ludziach zapał do pracy, ale są też pojedynczy maruderzy. Ludzi trzeba ciągle motywować. Czy będę skuteczny – zobaczymy.

Po kilku dniach pracy na budowach – od wczesnego ranka do zachodu słońca – zmęczony, ale szczęśliwy wracam na misję do Ngaoundaye. Mam nadzieję, że pod moją nieobecność prace na budowach będą postępowały zgodnie z planem. Tylko ta droga... Masakra...

br. Piotrek



Niepełnosprawni

pisze br. Robert Wieczorek OFM Cap

Przez to, co napiszę poniżej o pomocy osobom niepełnosprawnym w parafii Ndim, pragnę złożyć głęboki ukłon memu własnemu Ojcu, kochanemu Tacie, który jest dla mnie najkonkretniejszym przykładem, iż po wypadku można się pozbierać i spróbować żyć od nowa. Od dzieciństwa przyzwyczaiłem się obserwować, jak radzi sobie inwalida. Mój Tato stracił prawą dłoń jako żołnierz. W jednym momencie świat tego młodego mężczyzny legł w gruzach. Jego plany i ambicje uleciały jak mydlana bańka. Nie bez trudu, ale ostatecznie – pozbierał się. Odnalazł nowe motywacje, by jednak mimo wszystko spróbować funkcjonowania „lewą stroną”. Pomogły mu w tym najbliższe osoby z rodziny i nie bez znaczenia był fakt, że z domu wyniósł wiarę, która choć zachwiana, nie przepadła w gruzach osobistej tragedii. Po latach dojrzał nawet do wyznania, że z perspektywy czasu potrafi dziękować Bogu, że tak się potoczyły jego losy. Ale to już wyższa szkoła jazdy duchowej i osobista tajemnica, przed którą z respektem chylę czoło.

A ja od najmłodszych lat obserwowałem, jak można jedną, lewą ręką umyć się, ogolić, ubrać, zrobić sobie kanapkę. Jak można nią pisać i witać się z praworęcznymi (tylko gdy sam miałem złamaną prawą rękę, witałem się z Tatą tak po skautowemu: lewą ręką, od serca – osobliwe odkrycie...). Wreszcie – jak można normalnie pracować zawodowo, być mężem i ojcem rodziny... Proteza miała swe naturalne miejsce w domu, jak krzesło, garnek, czy krawat (o, jego też Tata sam sobie wiązał!). Mój osiemnastoletni dzisiaj Ojciec do tej pory zadziwia swe otoczenie nietuzinkową aktywnością i sprawnością, z jaką okopuje i uprawia grządki warzyw na działce. Dlatego od małego pozostaje mi w uszach kategoryczna wymówka niecierpliwego z natury Taty, który



na nasze narzekanie przy jakiejś robocie ucinął krótko: „Co to znaczy, że się nie da?!”. On miał pełne prawo, by tak mówić, bo sam dawał przykład radzenia sobie z wyzwaniami. I to świadectwo pozostaje głęboko zapisane w mojej duszy: „Da się!”.

W RŚA stracić nogę czy ulec paraliżowi oznacza w praktyce wyłączenie ze społeczeństwa i skazanie na więzienie bez zamków – poruszanie się w obrębie domu i najbliższego otoczenia. Gdy w czasie wizyty duszpasterskiej spotkałem Aime, młodego mężczyznę o bezwładnych nogach, przy wsparciu diecezjalnej grupy Caritas znalazłem dlań trzykołowy wózek z napędem jak rower, tyle że poruszany za pomocą rąk. Do tej pory zorganizowaliśmy 6 takich wózków dla osób, którym nie da się już pomóc przez żadną operację.

Ale najbardziej trafiła mi do serca sprawa Amidy z Nzoro. Wieś, z której pochodzi, jest lokalnym centrum Ewangelicznego Kościoła Braci, mamy tam jednak szkołę katolicką, gdzie 90% uczniów to protestanci. Pierwszy raz zobaczyłem Amidę, kiedy pojechałem do Nzoro, żeby obejrzeć postępy w rozbudowie szkoły. Z początku myślałem, że jest karzełkiem – na krótkich nóżkach szła energicznie do swojej klasy, tak jak jej rówieśnicy. Później poznałem jej historię. W 2007 r. rządzący w Republice Środkowoafrykańskiej gen. Bozize zorganizował brutalną pacyfikację północno-zachodniej prowincji, objętej wówczas nową rebelią. Wysłani żołnierze stosowali odpowiedzialność zbiorową, najeżdżając kolejne wsie, paląc domy i strzelając do kogo popadnie. Amida była wtedy niemowlęciem. Matka, uciekając, przytroczyła ją kawałkiem płótna do pleców, ale w panice nie zauważyła, że dziecko wysunęło się i upadło na klepisko tuż obok ognia. Kiedy po jakimś czasie kobieta odkryła, co się stało, i wróciła do chaty, dziewczynka miała już nadpalone nóżki.

Uciekinierzy chronili się w tym czasie w buszu. Dopiero po tygodniu udało się rodzicom przedrzeć do Ndim, by szukać pomocy dla okaleczonej córeczki. Siostra-pielęgniarka, która ich przyjęła i od której usłyszałem tę historię, nie mogła zrobić nic więcej, jak tylko odjąć zwęglone i zainfekowane resztki stóp, żeby przynajmniej uratować życie dziecka. Dziewczynka nauczyła się chodzić na kolanach. Dziś ma 10 lat. Zdecydowaliśmy, że spróbujemy pomóc jej w zdobyciu protez.

Amida to jedna z osób, którym mogliśmy zaoferować leczenie dzięki akcji „pączek dla Afryki”. W ramach niej zbierane są środki na różne dzieła prowadzone przez braci kapucynów w RŚA i Czadzie. W ubiegłym roku

zgłosiłem projekt pomocy osobom niepełnosprawnym z terenu mojej parafii. Ich sytuacja jest bowiem trudniejsza niż innych mieszkańców; wszyscy tu w jakiś sposób ucierpieli z powodu rebelii i wojen, ale niepełnosprawnym najtrudniej wrócić do normalnego życia. Po naradach i objechaniu wszystkich wiosek do programu zakwalifikowaliśmy 30 osób.

Może się wydawać, że to niewielka liczba. Ale sprawa nie jest taka prosta. Trzeba zapewnić transport chorych i ich opiekunów do Moundou w Czadzie, gdzie kapucyni prowadzą Dom Matki Bożej Pokoju. Jest to placówka wyspecjalizowana w leczeniu osób dotkniętych kalectwem, operacjach ortopedycznych, rehabilitacji oraz produkcji protez. W wielu wypadkach wiąże się to z podwójną podróżą: najpierw na konsultację wstępną, a potem na operację, którą można przeprowadzić tylko w czasie tzw. misji chirurgicznej (dwa razy w roku). Do tego dochodzi rekonwalescencja i rehabilitacja. Wszystko razem jest dość czasochłonne i sporo kosztuje. Sporo, oczywiście, jak na warunki afrykańskie, bo dla nas, Europejczyków, nie byłby to wielki wydatek. Rodzina chorego wpłaca symboliczny wkład – równowartość ok. 200 złotych. To ważne, bo taki wkład mobilizuje krewnych do współpracy. Resztę kosztów pokrywamy ze zbiórki.

Historia szpitala w Moundou jest bardzo ciekawa. Założył go Michel Gimbaud, Francuz, który przyjechał do Afryki przeszło 60 lat temu, w czasie, kiedy Czad był jeszcze kolonią. Przybył tu jako wolontariusz do pracy w misyjnej stolarni. Był wówczas młodym członkiem Trzeciego Zakonu Franciszkańskiego. Po jakimś czasie poprosił kapucynów, by przyjęli go w swoje szeregi. W latach 80., już jako starszy brat zakonny, odkrył w sobie powołanie kapłańskie; odbył wymaganą formację w Szwajcarii i został wyświęcony. Najważniejszym dziełem jego życia jest wspomniany Dom Matki Bożej Pokoju (francuski skrót – MNDP). Na początku chodziło o najprostszą pomoc – konsultację, rehabilitację, zdobycie kul czy aparatów ortopedycznych. Z czasem pojawiła się możliwość przeprowadzania operacji. Dziś liczba konsultowanych w ciągu roku sięga 2 tys., a operacji przeprowadza się blisko 200. Wykonują je lekarze-specjaliści z Francji lub Hiszpanii w ramach wspomnianych misji medycznych. W sumie przez prawie 40 lat działalności ośrodek pomógł ponad 30 tys. pacjentów, a w miejscowej manufakturze wytworzono ponad 11 tys. protez i aparatów oraz 6 tys. lasek i kul.

Ośrodek w Moundou pomógł niejednej osobie z mojej parafii. Dobrym przykładem jest mój imiennik, Robert z Kunang, który był kiedyś żandarmem (co w RŚA oznacza wysoką pozycję społeczną). Kilka lat temu, pędząc na motorze, wpadł na zakręcie na osobę pchającą wózek z drewnem. Zahaczył nogą o żelazną ramę dwukółki i praktycznie urwał sobie stopę. Lekarz z powiatowego szpitala w zapadłym kącie prowincji nie potrafił nic więcej zrobić, jak odjąć stopę i zatamować krwotok. Przez cztery lata Robert zrezygnowany spędzał dnie w fotelu. W końcu udało mi się zorganizować mu wy-

jazd do Moundou. Po operacji i rehabilitacji, która trwała trzy miesiące, wrócił do rodzinnego Kunang z protezą nogi. Wprawdzie nie biega, ale przemieszcza się samodzielnie i bez laski. Od młodości był katechumenem, ale ciągle „nie miał czasu”, by przygotować się do chrztu. Pierwsza rzecz, jaką zrobił po powrocie, to oświadczył, że chce nadrobić do zaniebdanie. I rzeczywiście – wkrótce przyjął chrzest.

Do MNDP udało mi się też wysłać dwóch chłopców z rodziny mieszkającej w pobliżu kościoła w Ndim. Obaj urodzili się z zajęczą wargą. Kiedy do Moundou przyjechała misja chirurgów plastycznych, postaliśmy obu kuzynów, żeby ich zoperowano. Wrócili po miesiącu uśmiechnięci od ucha do ucha. Jeden z nich, Nestor, wyjeżdżając oświadczył: „Jak tylko mnie zoperują, to jeszcze ludziom we wsi pokażę na co mnie stać!”. Nie były to czcze przechwałki: wyzbywszy się kompleksów, Nestor jest dziś najlepszym uczniem w przedostatniej klasie naszego katolickiego gimnazjum.

Sytuacja w Ndim jest obecnie bardzo trudna, ponieważ w okolicy znów pojawili się rebelianci. Zanim przyszli, na początku lipca ubiegłego roku udało mi się wyprowadzić do Moundou na konsultację kolejnych pięć osób. Wśród nich Viki, dwudziestoletnią dziewczynę po polio, która wróciła półtora miesiąca później wyposażona w aparat usztywniający bezwładną nogę i teraz może samodzielnie przemieszczać się, pomagając sobie kulą. Po powrocie opowiedziała mi o swoich planach: chce nauczyć się krawiectwa i zacząć własną praktykę. Maszynę do szycia pożyczył jej wujek-katechista, ale jak tylko zarobi pierwsze pieniądze, postara się kupić własną.



W tej samej grupie do ośrodka w Moundou pojechała Amida. Razem z babcią, która się nią opiekuje, jest tam już od pięciu miesięcy, bo z powodu rebelii granicę między Czadem i RŚA zamknięto. Dziewczynka przeszła operację dostosowania kikutów do założenia protez, a teraz uczy się chodzić. Na zdjęciach, które dostałem, widać jej determinację. Pierwsze kroki na pewno sprawiają ból. Ale jest to ból, który przenika nadzieją. Dzięki ofiarom z „pączka dla Afryki” kolejna osoba stanie na nogi.



Przywitanie z Afryką

pisze br. Maciej Jabłoński OFMCap

Br. Maciej Jabłoński, który wrócił po dwóch miesiącach spędzonych w Afryce, opisuje swoje pierwsze wrażenia i plany na przyszłość.

Samolot podchodzi do lądowania, lekkie turbulencje, po chwili widoczne przez okno szaro-bure połacie terenu zaczynają nabierać wyrazistszych kształtów. Widzę gliniane domy kryte strzechą, palmy, mangowce, czerwien laterytowego lądowiska i gapiów eskortujących nasz samolot na motocyklach. Samolot gładko osiada na ziemi, drzwi zostają otwarte, wysiadam. Mimo, że jest 5 stycznia, uderza mnie gorąco i chmura pyłu. Właśnie stawiam pierwsze kroki w Afryce, a dokładnie w Republice Środkowoafrykańskiej, i rozpoczynam blisko dwumiesięczny staż przygotowawczy do pracy misyjnej.

Po odprawie paszportowej, zostałem powitany przez kilku braci Polaków (br. Benedykta Pączkę, br. Tomasza Świątę i br. Andrzeja Barszcza), pracujących w tym kraju, po czym razem, przemieszczając się ulicami Bangui (stolicy), przejechaliśmy do naszej misji w Bimbo, gdzie obecnie znajduje się również dom nowicjatu. Następ-

nego dnia pojechaliśmy do Bagandou, misji położonej w lesie deszczowym, w której proboszczem jest ksiądz Mieczysław Pająk, a parafianami są Pigmeje. W niedzielę miałem pierwszy kontakt z „brusem”, czyli wioskami położonymi głęboko w buszu. Udaliśmy się do jednej z pigmejskich wiosek, by celebrować Eucharystię. Po Mszy Świętej zrobiliśmy przechadzkę po lesie deszczowym, celem zwiedzenia kopalni złota. W poniedziałek wróciliśmy do Bimbo, by następnego dnia wyjechać do Bouar, siedziby kurii naszej Kustodii Generalnej. Po noclegu w klasztorze św. Wawrzyńca, we środę wyjechałem do Ndim, głównej bazy mojego stażu, po drodze zatrzymując się u braci w Bocaranga.

Ndim jest niedużą miejscowością położoną na północnym zachodzie RŚA, niedaleko granicy z Czadem. Jest to rejon, który w ostatnim czasie doświadcza wielu trudności na skutek rebelii i powiązanych z nią grabieży, zniszczeń i morderstw. Obecnie pozornie panuje spokój, ale ciągle tu i ówdzie spotkać można grupy rebeliantów-bandytów z ugrupowania Seleka. Ndim było siedzibą naszego nowicjatu (obecnie, ze względu

na niestabilną sytuację polityczną, przeniesionego do Bimbo) oraz parafii, w skład której wchodzi 20 wiosek z kaplicami. W czasie mojego pobytu czerpałem wiele z doświadczeń braci Roberta i Henriego, rezydujących tam na stałe. Prowadząc życie zakonne i wykonując różne prace koło domu, podjąłem się też pracy duszpasterskiej: sprawowania sakramentów, pracy z młodzieżą w ramach konwersacji z języka angielskiego oraz pracy w miejscowym ośrodku zdrowia. Poniżej pokrótce je opiszę.



Sakramenty to przede wszystkim sprawowanie Eucharystii, zarówno w kościele w centrum Ndim, jak i w wioskach, czyli w brucie. Nie lada wyzwaniem było dla mnie sprawowanie Mszy Św. w języku sango. Problemu nie stanowiło samo odczytanie tekstów mszalnych, lecz niemożność zrozumienia komentarzy, czytań czy homilii w tym zupełnie nowym dla mnie języku.

Rozpocząłem też pracę z uczniami gimnazjum w Ndim. Zaproponowałem też spotkanie, by razem uczyć się języka angielskiego. Ku mojemu zaskoczeniu przyszło 35 osób. Z trudem zmieściliśmy się pod strzechą szałas przy misji. Od nowego roku szkolnego mam zamiar kontynuować z nimi te lekcje już w budynku szkoły. Mam nadzieję, że otworzy to również możliwość szerszej pracy katechetycznej i zawiązania wspólnoty Młodzieży Franciszkańskiej Tau.

Od dziecka interesowałem się medycyną, rozczytywałem się w podręcznikach medycznych. Ukończyłem kilka kursów z dziedziny pierwszej pomocy przedmedycznej, zaawansowanych technik ratunkowych i rehabilitacji pourazowej. We Wrocławiu, gdzie posługiwałem w parafii, jako wolontariusz pomagałem w pracy tamtejszym załogom pogotowia ratunkowego. Dlatego widząc możliwość pomocy chorym w Afryce, podjąłem pracę, także jako wolontariusz, w „dispanserze” – małym szpi-

talu w Ndim. W ośrodku zdrowia w Maigaro, dużej miejscowości koło Bouar, odbyłem tygodniowy staż. Dzięki temu nauczyłem się wiele o leczeniu malarii i chorób pasożytniczych. Poznałem przypadki chorych na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych czy dur brzuszny. Asystowałem przy kilku zabiegach chirurgicznych i porodach. W Ndim zainstalowałem i rozpocząłem pracę z aparatem USG, który do tej pory stał nieużywany w ośrodku. Gdy była potrzeba – udzielałem sakramentu chorych i w szpitalu ochrzciłem jednego chłopca, małego Maciusia, który umierał na skutek komplikacji poporodowych. Chłopczyk przeżył i teraz ma się dobrze.

Pod koniec mojego pobytu w RŚA wziąłem udział w kapitule, czyli spotkaniu wszystkich braci kapucynów pracujących w kustodii Czadu i RŚA, która miała miejsce w Bouar. Dało mi to możliwość poznania zarówno samych braci, jak i realiów ich pracy dla Kościoła. Uczestniczyłem też w niezwykle podniosłym „polskim” święcie – uroczystości sakry biskupiej księdza Mirosława Gucwy, polskiego misjonarza z diecezji tarnowskiej, który został nowym biskupem diecezji Bouar.



Miałem również okazję pojechać z br. Piotrem Michalikiem na weekendowe dni skupienia do jednej z wiosek w jego sektorze, a z br. Tomaszem Świątą spędziłem kilka dni w brucie, w wioskach, w których on posługuje. Zawieźliśmy ławki do szkoły, urządziliśmy projekcję filmu o bł. Józefinie Baghicie, a następnego ranka sprawowaliśmy Eucharystię w jej liturgiczne wspomnienie.

Mój pobyt w Afryce trwał dwa miesiące. Nie tylko nie przestraszyłem się tego, co tam zobaczyłem, ale było mi trudno opuścić ten kontynent, a przede wszystkim ludzi. Umocniłem się w moim powołaniu do pracy misyjnej i 20 lipca planuję wrócić do Afryki – już jako pełnoprawny misjonarz. Chcę tam pracować dla tych wszystkich, przed którymi postawi mnie Pan.

Niech dobry Bóg błogosławi Was, naszych dobrodziejów, oraz biednych ludzi, dla których pracujemy, jak i samych braci zaangażowanych w dzieło misyjne.

br. Maciej Jabłoński OFMCap

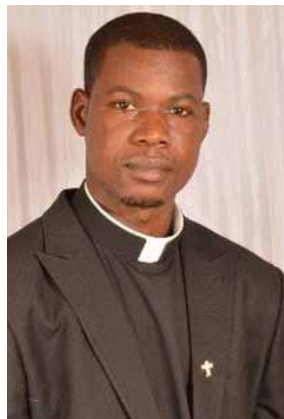




Ks. Staszek z Kowone

pisze br. Robert Wieczorek OFMCap

Mimo ogólnie trudnej sytuacji w Republice Środkowoafrykańskiej i tutejszym Kościele, dzieją się też dobre rzeczy, którymi możemy się pochwalić. Otóż w katedrze w Bouar został wyświęcony na kapłana diecezjalnego nasz parafianin z Ndim, ksiądz Stanislas Capistran Sing-na. Wydarzenie wielkiej wagi, bo jak do tej pory, mieliśmy z tego terenu tylko jednego rodzimego kapłana – księdza Luca Simplicie Nah, zresztą od 20 lat już nieżyjącego... W tydzień po święceniach Stanislas przyjechał do mojej parafii, by odprawić prymicję w rodzinnej wsi Kowone, a następnego dnia w Ndim, gdzie kiedyś chodził do szkoły. I tu można by zakończyć relację, zostawić tylko taką lakoniczną notkę. Warto jednak dodać coś więcej, tak od serca.



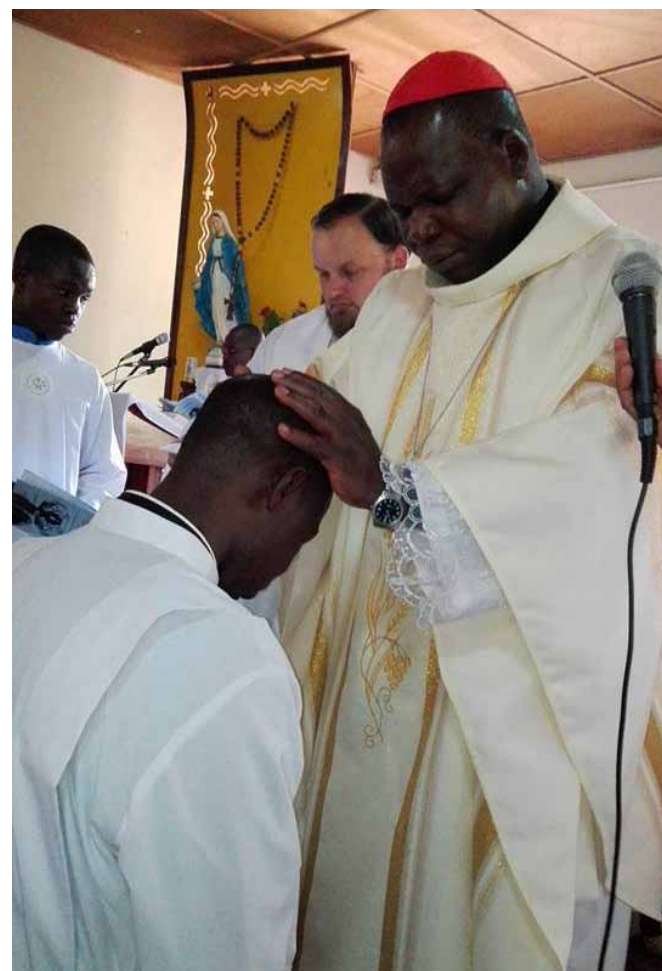
Pamiętam Staszka sprzed 20 lat, jeszcze jako małego chłopaka, wybierającego się do niższego seminarium w Yole. Teraz wyrósł na przystojnego mężczyznę (ma prawie 1,90 m wzrostu). Jego ojciec Blaise zmarł dawno, więc trud zapewnienia środków na opłacenie seminarium spadł na mamę Juliette. To energiczna kobieta. W młodości była prawą ręką siostry Assunty w animacji wśród kobiet z małych wiosek. Jej syn, bystry

i inteligentny chłopak, bez problemów skończył szkołę, zdał maturę i poprosił o posłanie go do seminarium diecezjalnego. Nie było to wcale takie łatwe, bo jego zaangażowanie i powołanie zbiegło się w czasie z poważnymi problemami Międzydiecezjalnego Seminarium w Bimbo, które zostało czasowo zamknięte, a większość seminarzystów dyscyplinarnie odesłano do domów. Biskup Armando z Bouar znalazł jednak zastępcze rozwiązanie, posyłając swych kandydatów do kapłaństwa do wyższego seminarium aż na drugą stronę Kamerunu – do angielskojęzycznego miasta Bamenda. Decyzja biskupa okazała się być trafną, bo oprócz okazji do nauki języka angielskiego nasi klerycy mają zapewnioną formację na wysokim poziomie intelektualnym i duchowym.

Osobiście ceniłem sobie tego młodego seminarzystę, bo podczas wakacji z własnej inicjatywy organizował sesje formacyjne dla chórzystów i młodzieży szkolnej zaangażowanej w parafii. Nikt mu nie kazał – on sam z tego, co otrzymał, pragnął coś przekazać swoim

młodszym kolegom. Z różnych stron dochodziły mnie pozytywne opinie na temat jego spontanicznej dyspozycyjności.

Gdy przed rokiem ukończył seminarium w Kamerunie, zanim został wyświęcony na diakona, pojechał na Światowe Dni Młodzieży do Krakowa. Podzielił się potem ze mną pięknym i głębokim świadectwem, wyrażając swą wdzięczność za opłacenie mu biletu do Polski. Była to dla niego opatrnościowa podróż i to akurat w przededniu najważniejszej życiowej decyzji – przystąpienia do święceń. Mógł odwiedzić rodzinne miasto papieża św. Jana Pawła II i centrum kultu Bożego Miłosierdzia, którego przesłanie mocno zakorzeniło się tu, na środkowoafrykańskiej ziemi. Ze wzruszeniem modlił się o ostateczne rozeznanie drogi życiowej, klęcząc w katedrze krakowskiej u grobu św. Stanisława, swojego patrona z chrztu – a jeszcze niedawno trudno by-



łoby mu uwierzyć, że kiedykolwiek odwiedzi jego grób! Pod Wawelem znalazł ślady obecności swego drugiego patrona, św. Jana Kapistrana, płomiennego kaznodziei i założyciela klasztoru Braci Mniejszych Obserwantów (Bernardynów). To była dla niego niezmiernie radosna i niezapomniana pielgrzymka. Jak sam świadczył potem, podziwiał wielu swych polskich przełożonych i wychowawców, którzy tak wiele poświęcili dla dobra ewangelizacji jego biednego kraju, zostawiając swoją piękną ojczyznę. Miło usłyszeć takie wdzięczne słowa...

Stanislas został wyświęcony na kapłana przez biskupa sąsiedniej diecezji Berberati, Dennisa Kofi Agbenyadzi, misjonarza SMA rodem z Ghany. Łącznie było święconych 3 kapłanów i 3 diakonów – jak na tutejsze warunki, to niebywała „kumulacja”.

W tym wydarzeniu uczestniczyłem wraz z delegacją parafii, najbliższej rodziny święconego oraz wspólnotą mych sióstr z Ndim. Radość z wydarzenia przyćmiewała nam tylko troska, czy uroczystość prymicji za tydzień nie zostanie przypadkiem popsuta przez stacjonujących o 200 metrów od kaplicy w Kowone rebeliantów. Ale nie, muzułmańscy buntownicy zachowali się poprawnie i nic złego nie miało miejsca. Ksiądz Stanislas celebrował ubrany w ornat z Jezusem Miłosiernym (i napisem „Jezu ufam Tobie” po polsku), a w kazaniu podkreślał przede wszystkim wielką wdzięczność Bogu i ludziom, powierzając swoją misję kapłańską modlitwie swych ziomek. „Bym nie przyniósł Wam wstydu!” – mówił z pokorą. Było to też wydarzenie ekumeniczne, bo duża część jego rodziny ze strony ojca to protestanci – zapewniono im podczas ceremonii miejsce w całej ceremonii.

Za księdzem Staszkiem w kolejce jest 5 wyższych seminarzystów (diecezjalnych i kapucyńskich) pochodzących z Ndim oraz dziesięć chłopców w niższych seminarzach. Niech im Pan da łaskę żywej wiary i pragnienie poświęcenia się dla dobra Kościoła afrykańskiego, bo my, misjonarze, długo tak sami nie pociągniemy. W diecezji Bouar nadal większość pracujących kapłanów zakonnych i księży to obcokrajowcy. Rodzimych księży diecezjalnych nie doliczę się nawet dziesięciu. W parafii Ndim prowadzę pracę duszpasterską w asyście 83-letniego ojca Henri, więc trudno spodziewać się wielkich efektów przy tak skąpej obsadzie. „Robotników mało. Proście więc Pana zniwa...”



Zdecyduj się i pomóż!

**SEKRETARIAT MISYJNY
Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów
– Prowincji Krakowskiej**

opiekuje się misjonarzami pracującymi
na kontynencie afrykańskim
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

**Wspieraj misję swoją modlitwą,
pracą i ofiarą.**

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom
potrzebującym w krajach afrykańskich,
w których pracują misjonarze z Zakonu
Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



11% KRS: 0000356850

Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFMCap (red. naczelny)
Diana Bonowicz,
Nakład: 5 000 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65





TWÓJ

DOKONA WIELKIEJ ZMIANY

nakarmimy dzieci
zbudujemy szkoły
zbudujemy studnie

**PRZEKAŻ 1% PODATKU NA RZECZ FUNDACJI
KAPUCYNI I MISJE KRS: 0000356850**



FUNDACJA
KAPUCYNI I MISJE

PRZYŁĄCZ SIĘ DO MISJONARZY KAPUCYNÓW!
www.fundacja.kapucyni.pl